

Czerwoni i czarni

16 września 2008

Czy Platformę można zatrzymać? Jej dominacja w sondażach, parlamencie i mediach sugeruje, iż jest to raczej wykluczone. A jednak...

Tuż przed wakacjami, rządową ustawę o mediach, będącą ważnym elementem planu rozjechania mediów publicznych, z jakim od dawna się noszą stratedzy Platformy, obaliło veto prezydenckie, które podtrzymały głosy posłów lewicy.

Na pierwszy rzut oka, trudno wyobrazić sobie bardziej egzotyczny sojusz. Lech Kaczyński, którego PR-owym znakiem szczególnym od prawie dwudziestu lat jest dekomunizacja, razem z tzw. postkomunistami? Jeszcze dziwniejszy od takiej nieformalnej koalicji byłby jednak sejmowy klub lewicy (choćby tylko z nazwy), który nie starałby się przeciwdziałać prywatyzacji według programu PO. Obojętne, z kim i jakim trybem obali się kolejną, po medialnej, ustawę prywatyzacyjną, zgodnie z którą szpitale państwowej służby zdrowia – lepsze czy gorsze, ale przynajmniej w założeniach bezpłatnie dostępne dla ogółu – mają z dnia na dzień zostać wystawione na przetarg.

Nie wszystkim wydaje się to oczywiste. Kiedy SLD wsparł veto Lecha Kaczyńskiego, wśród dziennikarskich kibiców zawrzało. Jak to możliwe – dopytywano się agresywnie – że lewica głosuje razem z PiS-em? Wkrótce TVN z wielkim zadowoleniem ogłosiła sondaż źle wróżący lewicy. Wskaźnik poparcia dla partii Grzegorza Napieralskiego, który po jego awansie na lidera nieco drgnął na korzyść, spadł do niebezpiecznego progu 5%. Dyżurny komentator natychmiast wyjaśnił, w czym rzecz. Lewicowi wyborcy, odwracając się od swego ugrupowania, mieli je ukarać za kolaborację z „kaczyzmem”. Może tak, może nie. Na rozważenie zasługiwałaby hipoteza, że Napieralski, po obiecującym początku, zniechęcił część zwolenników swoim

wdawaniem się w marginalne potyczki z Kościołem.

TVN, która z wielkim trudem odżałowała, że Sejm jeszcze nie dobił konkurującej z nią telewizji publicznej, pośpiesznie zemściła się na SLD za głosowanie w tej sprawie nie tak, jak trzeba. A przy okazji, wskazała mu drogę do zrehabilitowania się: w najbliższych głosowaniach nad ustawami prywatyzacyjnymi powinien odciąć się od Kaczyńskiego, a tym samym – poprzeć Platformę. Neoliberaląowie od dawna wysyłają sygnały, że lewica im nie przeszkadza. Gotowi są nawet ją lubić – pod warunkiem, że podporządkuje się ich zdalnemu sterowaniu.

Obóz neoliberalny miał swoje powody, żeby historycznie oskarżać Napieralskiego o paktowanie z „kaczystowskim” diabłem. Jego nagany powinny dać lewicy najlepszy dowód, że postąpiła słusznie. Tymczasem jej mózgi i redakcyjne komputery zaczął napastować wirus identycznej hysterii.

Leszek Miller przemówił jednym głosem z bliskim jego śmiertelnemu wrogowi, Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, tygodnikiem „Przegląd”. Ten pierwszy, kiedyś premier RP, obecnie zaś szeregowy bloger internetowy, nie odróżnia polityki od wojny między gangami szkolnymi. PiS w swoim czasie nas boksował? To teraz my – nawołuje Miller – podstawmy nogę partii Kaczyńskiego. A jeśli na deser uda się schrupać kilku podwładnych bliźniaków, zasiadających w radzie nadzorczej czy zarządzie publicznej telewizji i radiofonii? I ubłagać Platformę, żeby obsadzając zwolnione przez nich miejsca rzuciła jakiś ochłap swoim SLD-owskim pomocnikom? Dokładnie tak mężowie stanu spod socjaldemokratycznych sztandarów kosztują smaku zwycięstwa.

Nie inaczej niż „betonowy” Miller rozumuje postać ze skrzydła parlamentarnej centrolewicy, które liberalni komentatorzy określają jako „cywilizowane”: Jan Widacki. Jemu również nie podoba się, że opozycja z lewa jest nieskuteczna. Co o tym świadczy? Ludzie PiS na stanowiskach decydenckich w państwowych mediach. Redaktor naczelny „Przeglądu”, w którym

Widacki gości jako felietonista, Jerzy Domański atakuje, z kolei, współpracującą z SLD branżową organizację nauczycielską. Nie podoba mu się, iż liderzy ZNP zwrócili się do prezydenta Lecha Kaczyńskiego o zwołanie debaty nad sytuacją w oświacie. W zasadzie, czas na dramatyczne zawołanie, iż w polskiej edukacji źle się dzieje, byłby najwyższy. Szkoły, które władze centralne, aby odciążyć budżet, przekazują samorządom, przystępują do masowego zwalniania nauczycieli. W programach lektur obowiązkowych, nad którymi niedawno próbowano rozpętać ogólnonarodowy spór, czy ma być tam więcej Sienkiewicza czy Gombrowicza, brakuje już – zdaje się – obydwu tych pisarzy. Z prezydentem jednak – wykrzykuje Domański – nie wolno porozumiewać się w żadnym punkcie. To przecież szatan, który wspólnie ze swoimi kompanami z PiS o mały włos nie zniszczył demokracji w Polsce.

Polityczna i publicystyczna lewica dlatego, między innymi, jest tak niemrawą opozycją wobec Platformy, że paraliżuje ją nienawiść do braci Kaczyńskich. Podkreśla ona do znużenia, że ekipa Tuska – czegokolwiek by jej nie mieć za złe – i tak przynosi wytchnienie po czarnych latach 2005-07, w których PiS, jak to się mawia w lewicowym żargonie, budował „państwo policyjne”. Tym samym jednak nie pozwala ona zapomnieć o swojej hańbie domowej. SLD i jego przyległości po utracie władzy na rzecz PiS-u skompromitowały się jeszcze bardziej niż w trakcie rządów Millera i Belki. Gdy Platforma pędziła do przystanku z napisem „władza”, wołając koniunkturalnie, że Polska ginie z winy PiS-owskich ekstremistów, lewica gorliwie i nawet bez wynagrodzenia ją popychała. Wieloletni pariasi salonów politycznych, których napominano tam, że im „mniej wolno” nawet wówczas, gdy mieli za sobą wyborczą większość, z radością pokazywali się na demonstracjach anty-Giertych i paradach równości obok liberalnych prominentów.

Lewica wpadła w amok na punkcie PiS i z jeszcze bardziej kompromitującego powodu. W jej czołówce orientowano się doskonale, że w prawicowej propagandzie o korupcyjnym układzie

może niejedno wyolbrzymiać i – z naiwności lub demagogicznej złej woli – upraszczać, ale jej gęsty dym nie obywa się tak zupełnie bez ognia. Uwłaszczenie ostatnich generacji PRL-owskiej nomenklatury naprawdę miało miejsce. Instytucjonalne struktury lewicy tyleż narodziły się z tego procesu w początkach III RP, co jeszcze długo później służyły jego osłanianiu. Józef Oleksy wiedział, co mówi, zwierając się Aleksandrowi Gudzowatemu, że jego partyjni koledzy poważnie się obawiali, iż PiS-owska władza się do nich dobierze. Te nastroje muszą pamiętać Jan Widacki, prawnik Kulczyka, oraz Jerzy Domański, który – trochę w stylu „Misia” Barei – został rzucony na odcinek prasy dla emerytów tęskniących za Polską Ludową z posady w Polskim Związku Piłki Nożnej. Nic więc dziwnego, że nawołują do świętej zemsty na PiS-ie, który ich zleceńodawcom napędził takiego stracha.

Do ukrywania wstydliwych motywów wykorzystuje się tandetne kostiumy męczeńskie. Lewica, powołująca się na bohaterów, którzy z winy jej ideowych wrogów tragicznie skończyli, budzi szacunek. Ale jeśli zamiast takich osobistości dysponuje się tylko „doktorem G.” (któremu prokuratura nadzorowana już nie przez „policyjnego” Ziobrę, tylko przez „cywilizowanego” Ćwiąkałskiego) postawiła ostatnio 43 zarzuty typu korupcyjnego) oraz minister od eksmisji... Spuśćmy zasłone milczenia.

Lewicy niewiele już brakło do trwałego przeobrażenia się w żywego trupa na usługach liberalnych czarnoksiężników. Gdy tylko pojawił się cień nadziei, iż odbije się ona od tego dna, jak na zawołanie odezwały się wpływowe głosy i całe ośrodki opiniotwórcze, które postarały się na powrót ją tam strącić. Na efekt nie trzeba było długo czekać. SLD porozumiewa się podobno z PO w celu utracenia prezydenckiego weta przeciw ustawie o prywatyzacji szpitali.

Patrząc szerzej, dopóki formacje określające się jako socjaldemokratyczna lewica i konserwatywna prawica będą żyć głównie wzajemną nienawiścią, podsycaną anachronicznymi

przekonaniami (antykomunizmem i antyrosyjskością, z jednej strony, oraz, z drugiej – „antykacyzmem”), tak długo też nie staną się niczym, więcej niż „zombie”, podskakującymi tak, jak liberalny szaman sobie życzy.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)